№ 51. 18. Grudnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kartki naukowe.

Treść: Plamy i wybuchy na słońcu. — Wytrzymałość zwierząt na zimno. — Psychologja doświadczalna i laboratorja psychofizyczne. — Ozon jako środek leczniczy. — Kremacja miejskich nieczystości.

Że na słońcu istnieją plamy, o tem słyszeliśmy już wszyscy, ale nie wszyscy wiemy, że bieżący rok jest znakomitym pod względem ilości i jakości tych zjawisk. Plamy na słońcu nie są stałe: pojawiają się, to znowu znikają, a ilość ich zmienną bywa każdego roku. W niektórych latach ilość plam wciąż wzrasta, dosięga do najwyższego punktu i później się zmniejsza, aby w ciągu następnych lat wzrastać znowu w liczbę. Owa perjodyczność powtarza się mniej więcej co lat jedenaście.

Przedostatnie »maximum« plam przypadło na 1883 rok; później liczba ich zmniejszała się stopniowo aż do 1889 roku. Od tej epoki zaczęła znowu wzrastać i dojdzie do szczytu w końcu roku bieżącego, a nawet według przewidywań astronomów, liczba tegorocznych plam znacznie przewyższy rok 1883.

Już w ubiegłym sierpniu obserwowano na słońcu znakomitą plamę, która miała przeszło 150.000 kilometrów szerokości. Ponieważ kula ziemska posiada tylko 12.742 kilometrów w średnicy, zatem owa podwójna plama na słońcu przewyższała średnicę naszej ziemi o dwanaście razy.

Słońce, to ognisko światła i ciepła, podlega ustawicznym zmianom; oprócz plam bywają na niem straszne wybuchy płonących gazów, a tak potężne, iż w porównaniu z nimi nasze wulkany są dziecinną zabawką. 30. stycznia 1885 roku widziano na słońcu płomień, który wystrzelił w górę na 228.000 kilometrów! Owe wybuchy albo wyskoki słoneczne są także perjodyczne i znajdują się w ścisłym związku ze zmianą plam słonecznych.

Badanie plam na słońcu było uważane niegdyś przez astronomów za przedmiot niegodny ich uwagi. Powoli jednak zaczęto interesować się temi zjawiskami, zrozumiano bowiem, iż one otwierają podwoje do przeniknięcia tajemnicy, jaką jest fizyczna budowa słońca. Dostrzeżono tedy perjodyczność plam, oraz zauważono, iż na słońcu istnieją dwa pasy plam: jeden na północy równika słonecznego, a drugi na południu. Pasy te nie mają stałego miejsca: raz zbliżają się oba ku równikowi, to znowu od niego się oddalają. Okres ten obejmuje 11 lat. W 1892 r. ogółem wszystkich plam na słońcu było, według Flammariona, 1320. Ilość ich będzie jeszcze znaczniejsza w bieżącym roku.

* * *

Od słońca zależy życie wszystkich istot na ziemi i na innych planetach, które prawdopodobnie są również zamieszkałe przez jakieś istoty, bo dla czegóżby ów przywilej miał służyć tylko naszej maluczkiej ziemi. Jeżeli tedy ognisko to kiedyś zgaśnie, wówczas zamrze wszystko, co żyje, bez ciepła bowiem nie ma życia. Przyznać jednak musimy, że wytrzymałość niektórych zwierząt na zimno jest zdumiewająca, jak o tem świadczą ostatnie doświadczenia R. Picteta. Znakomity ów fizyk poddawał doświadczeniom przedstawicieli wszystkich grup zwierzęcych, począwszy od ssawców i kończąc na bakterjach, a to celem zbadania, jaki wpływ wywiera zimno na przebieg fizjologicznych zjawisk.

Doświadczenia odbywają się w następujący sposób. Przyrząd specjalny oziębiają do — 90° niżej zera i wprowadzają do niego zwierzę, np. psa. Natychmiast dostrzega się przyśpieszone oddychanie, oraz szybkie krążenie krwi; przez pierwszych 10 minut ciepłota ciała podnosi się o pół stopnia. Jestto pierwszy objaw walki organizmu z zimnem. Jeżeli pozostawić psa dłużej w przyrządzie, to kończyny jego marzną, ale wewnątrz ciała ciepłota utrzymuje się jeszcze przez jakiś czas na jednakowym poziomie. Po upływie półtorej godziny, ciepłota psa spada o jeden stopień; w końcu nastaje chwila, w której organizm nie może walczyć dłużej; temperatura nagle obniża się i pies żyć przestaje.

Ryby okazują niesłychaną wytrwałość na nizką temperaturę; można je mrozić tak, iż stają się kruche, a jednak nie umierają, nie należy

wszakże przekraczać temperatury — 15°. Płazy doskonale znoszą zimno aż do — 28° niżej zera; począwszy od — 35° życie ich staje się wątpliwem. Ślimak w zamkniętej skorupie żyje jeszcze przy — 120°.

Przeciwnie jaja ptaków są nader wrażliwe na zimno i giną już przy — 2° i — 3° niżej zera. Natomiast jaja żabie znoszą zimno — 60°. Wymoczki żyją jeszcze przy — 60° a wymierają wszystkie przy — 90°. Co się tyczy bakterji, to niema takiego mrozu, któryby mógł je zniszczyć. Pictet zauważył, iż niepodobna ich zabić nawet przy temperaturze — 213° w zamarzłem powietrzu atmosferycznem.

* * *

Metoda Picteta wytwarzania niezmiernie niskiej temperatury, stanie się punktem wyjścia dla nowych nieznanych dotąd doświadczeń, a wiemy, że doświadczenia są alfą i omegą dla nowoczesnej nauki. Postanowiła ona dochodzić prawdy jedynie za pośrednictwem doświadczeń i wyprowadzać wnioski li tylko na doświadczeniach oparte. Jestto jedyna metoda uznana obecnie za ściśle naukową i dlatego stosowaną jest nie tylko do badania zjawisk fizycznej natury, ale również i do zjawisk duchowych, ukrytych przed naszym wzrokiem.

Istotnie psychologja od kilkunastu lat oswobodziła się z więzów, w których trzymał ją despotyzm metafizyki. Psychologowie zrozumieli, że dopóki będą marzyć i rozprawiać o zjawiskach duchowych, zamiast badać je i doświadczać, dopóty psychologja nie posunie się naprzód. Zerwali więc śmiało ze starą metodą, pomimo sarkania metafizyków i pozakładali laboratorja, w których badają zjawiska duchowe, tak jak fizjologowie badają zjawiska cielesne.

Tym sposobem powstała psychologja doświadczalna, w której za pośrednictwem fizycznych przyrządów notują objawy życia duchowego i wyprowadzają zeń prawa równie ścisłe, jak prawa fizyczne. Psychologja stała się zatem w nowszych czasach nauką pozytywną; jestto droga, którą wskazał jej filozof August Comte; obecnie zwolennicy jego stanowią zastęp. W Niemczech Wundt otworzył laboratorjum psychologji doświadczalnej, lecz obecnie prawie każdy uniwersytet niemiecki posiada także laboratorjum. Nie tylko w Niemczech atoli psychologja weszła na drogę naukową; w ślad za nimi poszły wszystkie niemal kraje, a w szczególności psychologja doświadczalna robi wielkie postępy w Stanach Zjednoczonych.

W ubiegłym tygodniu byliśmy świadkami otwarcia w Bruksell katedry oraz laboratorjum, poświęconych badaniom z zakresu psychofizyki. Jakkolwiek drobny kraj, Belgja w ostatnich latach stała się widownią niezmiernie ożywionego ruchu nie tylko politycznego, ale i umysłowego, który ogarnął najniższe warstwy społeczne. O ciekawych instytucjach naukowych, które powstały tu w ciągu dwóch lat, pomówimy na innem miejscu, obecnie zaznaczmy tylko, że w bieżącym roku otworzono tu uniwersytety ludowe na wzór istniejących w Anglji i Szwecji. Uniwersytety w Belgji tłumnie zwiedzane są przez klasę robotniczą w wieczornych godzinach.

* * *

Na zakończenie dodajmy słów kilka o postępach hygieny.

Ostatniemi czasy lekarze paryscy przedsiębrali rozmaite próby leczenia chorych za pośrednictwem ozonu, który jest odmianą tlenu. Próby te w wielu razach wypadły bardzo pomyślnie, zwłaszcza przy anemji i suchotach. Tam gdzie trzeba wzmocnić siły, pobudzić szybsze trawienie oraz krążenie krwi, wdychanie ozonu sprowadzało często nader dodatnie rezultaty, tak iż lekarze zwrócili baczną uwagę na ten nowy leczniczy środek.

Jeżeli ozon przynosi polepszenie chorym, to jest on nie mniej pożyteczny i dla zdrowych. W powietrzu polnem, leśnem, górskiem i morskiem wiele jest ozonu, na koniec i miejskie powietrze po burzy staje się zdrowszem, ponieważ elektryczność atmosferyczna wytworzyła ozon. Chociaż ów gaz jest odmianą tlenu, posiada on jednak inne własności od tlenu. Ozon silniej oddziaływa na tkanki organiczne i dlatego pobudza je do lepszego odżywiania się, ale nadto ozon niszczy w powietrzu drobne ustroje oraz pył organiczny i tak oczyszcza powietrze i przywraca mu naturalne jego własności. Z tego widzimy, że byłoby dla mieszkańców miast pożądanem, aby mogli oczyszczać powietrze w swych mieszkaniach za pomocą ozonu, przy współudziale elektryczności. Gdy elektryczność tak się rozpowszechni po mieszkaniach jak nafta i gaz, wówczas będziemy mogli fabrykować czyste powietrze, zbliżone do powietrza górskiego i morskiego.

* * *

Tymczasowo hygjeniści wszelkiemi sposobami usiłują usuwać przyczyny, które wpływają na zanieczyszczenie powietrza w miastach i zmniejszają jego zdrowotność. Z tego powodu debatują wciąż nad ulepszonymi sposobami uprzątania śmieci i innych nieczystości. Ciekawe pod tym względem urządzenia powstały w Anglji, gdzie śmiecie palą w specjalnych piecach. System ten zastosowano po raz pierwszy w 1876 roku w mieście Leeds. W bieżącym roku już 55 miast angielskich posiada takie piece, ogólna liczba których wzrosła do 572. W Berlinie ustawiono świeżo sześć takich pieców, wreszcie i Bruksella zaopatrzyła się w jeden przyrząd kre-

macyjny. Codziennie rano przejeżdżają po mieście wozy i zabierają śmiecie, wystawione w skrzynkach przed każdym domem i odwożą je natychmiast do pieców kremacyjnych.

Wprawdzie palenie wszelkich odpadków miejskich stanowi pewną stratę dla rolnictwa, ale jeżeli rozważymy, że śmiertelność miasta od chorób zakaźnych zmniejsza się w miarę, gdy wzmaga się w nim czystość, to nie będziemy zważali na drobne straty, wobec poważniejszych rzeczy. Hygjena wymaga, aby wszelkie nieczystości jak najspieszniej usuwać i najlepszym ku temu środkiem okazał się dotychczas ogień. Obecne piece nie wydzielające ani odoru, ani pyłu są systemu Hovsfalla, temperatura dochodzi w nich do 1.100 stopni.

Dr. M. Stefanowska.

Gdy mnie ogarnia zmrok.

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

* * *

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze
Tabor swych skutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

* * *

I znów oczyszczon, i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy,

* * *

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

Jan Kasprowicz.

Głos Stańczyka

W sprawie pierwszorzędnego znaczenia zabrał głos krakowski Stańczyk, a, że nie wszyscy mogą się na jego zdanie zgodzić, więc pozwalam sobie dać mu parę słów odpowiedzi. Prof. Dr. Józef Kleczyński wydał broszurę pt. *„Trzeci zjazd prawników i ekonomistów polskich“*, która jest w części sprawozdaniem, a w części krytyką, obejmującą uwagi autora. Fachowy charakter zjazdu nie pozwala mi polemizować z całą broszurą, ale zakres moich wiadomości upoważnia mię do zastanowienia się nad niektóremi jej częściami. Odkładając na inny raz rozbiór rażących poglądów p. profesora na temat: jakie stanowisko zajmuje żywioł polski w W. ks. Poznańskiem, poprzestanę obecnie na tej części jego broszury, która omawia sprawę emigracyjną.

Już na drugim Zjeździe prawników był dr. Kleczyński zdania, że »potrzebą kraju jest organizacja wewnętrzna przesiedleń, mianowicie skierowanie Mazurów ku wschodowi Galicji i ułatwienie im nabywania gruntu«. Autor przeoczył zapewne okoliczność, że przesiedlanie Mazurów ku wschodowi Galicji byłoby nie tylko sprawą ekonomiczną ale i narodową ze względu na kwestję ruską. Autor jest przeciwnikiem emigracji zamorskiej a raczej organizowania tejże, bo uważa »utworzenie polskiej kolonji za nieprawdopodobne, a dążność samą za szkodliwą, gdyż należałoby na tę ideę łożyć znaczne zasoby pracy i pieniędzy, z uszczerbkiem interesów miejscowych«. Nieco dalej powiada autor, że »organizacja wychodźtwa byłaby zachętą do emigracji, a dla przyszłości społeczeństwa polskiego wątpliwej korzyści«.

Twierdzenia powyższe prof. Kleczyńskiego są poprostu niezrozumiałe wobec tego, że polska kolonja, a nawet polskie kolonje w Ameryce już dzisiaj de facto istnieją, że więc nie można uważać ich utworzenia za »nieprawdopodobne«. Gdyby nie było niczego więcej jak tylko Chicaga, będącego największem po Warszawie miastem polskiem, bo liczy ono przeszło 200.000 rdzennych Polaków, to już kolonja taka istniałaby. Według niedokładnych obliczeń ilość emigracji polskiej w Ameryce wynosi półtora miljona a prawdopodobnie więcej jeszcze. Kolonja polska w Ameryce dochodzi do zupełnej świadomości narodowej, organizuje się, łączy w związki, odbywa sejmy, zjazdy itd. itd. Wobec uznania języka polskiego za półurzędowy w Stanie Wisconsin, wobec »Dnia polskiego«, odbytego na wystawie i mowy Harisona (burmistrza m. Chicago), który rozpoczął od słów: »Byłem Wam przed chwilą przedstawiony jako Amerykanin, dziś raczej jestem Polakiem«, wobec tego wszystkiego uważać utworzenie kolonji polskiej w Ameryce za nieprawdopodobne może istotnie tylko człowiek, dla którego fakty nie posiadają żadnego zgoła znaczenia.

Na twierdzenie pana profesora, że sama dążność utworzenia takiej kolonji polskiej w Ameryce jest szkodliwa, zgodzimy się tylko wtedy, jeżeli za szkodliwy będziemy uważać pomyślny i wszechstronny rozwój żywiołu polskiego na ziemi wolnej i gościnnej. W oczach dr. Kleczyńskiego powstanie kolonji polskiej w Ameryce

jest może dla tego szkodliwe, że powoli wytworzy się liczne i potężne społeczeństwo polskie, do którego nie sięgnie wpływ stańczyków krakowskich; może dla tego, że ruch nasz narodowy stanie się intensywniejszy i śmielszy, gdy będziemy mieli jedną prawdziwie wolną dzielnicę polską; może dla tego, że lud wiejski w Galicji, mogąc znaleźć przyzwoity kawałek chleba i godność obywatelską za morzem, nie zechce nadal pozostawać na stanowisku bydła roboczego szlachty galicyjskiej; może dla tego, że w Ameryce powstanie rzetelnie demokratyczne społeczeństwo polskie, które może wywrzeć i wywrze niezawodnie potężny wpływ na stosunki w metropolji. Wszystko to być może, wolno się wszystkiego domyślać, bo autor nie uzasadnił zgoła swego twierdzenia. Organizacja wychodźtwa ma być »zachętą do emigracji i rzeczą wątpliwej dla nas korzyści«. Oj! nie, nie! Zachętą jest bieda ekonomiczna, ucisk fiskalny, upośledzenie społeczne i polityczne chłopa galicyjskiego, który z każdym dniem więcej czuje się człowiekiem. Nie organizując wychodźtwa nie powstrzyma się go i nie zmniejszy nawet, ale za to sprawi się, że polska emigracja będzie nadal padać ofiarą wyzysku niesumiennych agentów, że będzie osiedlać się w krajach dla siebie klimatycznie wcale nie odpowiednich, a więc wymierać, że część rozproszona wśród ludności obcej zupełnie wynarodowi się. Dla dra Kleczyńskiego utworzenie wielkiej, licznej, bogatej, niezawisłej politycznie i narodowo polskiej kolonji w Ameryce jest dotąd rzeczą »wątpliwej wartości«, a jednak przykład Czechów, Słowaków, Niemców powinienby tego rodzaju wątpliwościom położyć od dawna koniec.

Ramy artykułu nie pozwalają na szersze omówienie tych doniosłych kwestji, lecz niebawem postaramy się w odrębnym artykule wykazać pozytywnie, jak nieuzasadnione są twierdzenia prof. Kleczyńskiego, z którym wdaliśmy się w polemikę dla tego, że należał do komisji emigracyjnej, że powinien był z obowiązku dokładniej poznać sprawę i wyrobić sobie o niej właściwsze wyobrażenie. Społeczeństwo nasze zachowuje się wobec niesłychanie doniosłych spraw emigracyjnych zupełnie obojętnie, a takie broszury, jak dra Kleczyńskiego, mogą rzecz na gorsze i opłakane wprowadzić tory.

Wojciech Szukiewicz.

Przez śmierć do majątku,

HUMORESKA.

Skoro zasiedliśmy w fotelach i zapalili wonne cygara, towarzysz mój pociągnął łyk likieru i tak zaczął swe opowiadanie.

Dawno już, gdy byłem jeszcze młodym, początkującym artystą i wałęsałem się po wszystkich kątach Francji, przypadkiem poznałem i zaprzyjaźniłem się z trzema takimi jak i ja, artystami początkującymi. Bieda zbliża ludzi, więc i my wkrótce utworzyliśmy kółko prawie braterskie: Klaudjusz Fraire i Karol Boulanger byli niezmiernie wesołymi chłopakami i gdyby nie ogromny niedostatek, to dalibóg, nie pragnąłbym w życiu lepszych i weselszych czasów. Nakoniec w podróżach naszych dostaliśmy się do pewnej wioski, gdzie poznaliśmy takiego jak i my biedaka artystę, Franciszka Milleta, który przecież uratował nas od śmierci z głodu.

— Jakto! Ten sławny Franciszek Millet?

— Ten sam, ale wtedy nikt o nim nie wiedział zarówno jak i o nas. Malowaliśmy gorliwie i uczciwie, ale rzadko zdarzało nam się sprzedać co — nawet za bezcen: nie mieliśmy rozgłosu, dla tego też i praca nasza nie była ocenianą należycie. Nieraz po kilka dni z rzędu żywiliśmy się samą rzepą, lecz to nas nie martwiło; pracowaliśmy i nie rozpaczali. Pewnego razu Klaudjusz wbrew swemu zwyczajowi odezwał się poważnie:

— Moi drodzy, teraz zginiemy już ostatecznie. Obszedłem wszystkie kąty i nigdzie za grosz nawet nie chcą dać na kredyt. Głupcy, mówią: »nie damy, dopóki nie zapłacicie choć części długów dawnych«. A zkądże wziąść na zapłacenie, skoro na chleb nawet nie możemy zapracować!

Zrobiło nam się markotno i spojrzeliśmy po sobie wzrokiem trwożnym. Milczeliśmy.

Karol wstał, przebiegł kilka razy pokój, następnie zatrzymawszy się, rzekł oburzony:

— To hańba! Patrzcie tylko, ile zużyliśmy samego płótna! A przecież i malowidła nasze nie gorsze są od innych! Ale tamte kupują, bo na nich wypisane nazwisko znane, lub mówiąc właściwiej — modne. Weźmy np. obraz Milleta »Nieszpory«. I przedmiot dobry i wykonanie bardzo porządne.

— Dawali mi zań pięć franków — wtrącił autor obrazu.

— I nie sprzedałeś?

— Nie sprzedałem, gdyż miałem nadzieję dostać więcej. Żądałem 8 franków, ale ten głupiec z takim zachwytem przyglądał się memu płótnu, iż nie spodziewałem się odmowy tak stanowczej.

— Ja na twojem miejscu byłbym się zgodził.

— Wiem, żem się złapał i później gotów byłem oddać już nie za pięć franków, lecz nawet za wiązkę brukwi...

— Słuchajcie — przerwał Karol — pomówmy rozsądnie. Mówicie, że obrazy nasze posiadają wartość?

— Rozumie się, że mają — odrzekli wszyscy.

— Zgoda, ale czy są o tyle dobre, że rozchwytanoby je, gdyby znajdował się na nich podpis jakiego artysty znanego?

— Nie ulega wątpliwości!

— Doskonale!... W takim razie pomieszczajmy na nich jakie znakomite nazwiska.

Zrobiło nam się smutno, była to bowiem rzecz niełatwa i nieładna. Karol tymczasem zasiadłszy wygodnie, mówił dalej:

— Mówię na serjo i wierzcie mi, jestto jedyny sposób wybicia się na wierzch i dorobienia się majątku.

— Cóż ty nazywasz majątkiem?

— Po 100.000 franków na każdego z nas.

— Ależ on zwarjował! Dawajcie wody... obłożyć mu głowę lodem!...

— Cicho! — zawołał Millet — wysłuchajcie go naprzód, później będziecie wrzeszczeć!

— Słuchajcie — rzekł Karol. — Żądam od was kategorycznej odpowiedzi »tak« lub »nie« na pytanie: czy prawda, że większość osób znakomitych zdobywa rozgłos wtedy dopiero, gdy umrze z głodu, lub dostanie pomieszania zmysłów?... Prawda?... Dobrze. Mamy więc pewnik: by zyskać sławę, należy pierwej umrzeć. Ergo jeden z nas musi umrzeć.

Wywód ten był tak nie oczekiwany i wypowiedziany tonem tak spokojnym, że każdy z nas aż podskoczył na krześle. Zaczęliśmy znowu żartować i śmiać się, ale nasz obłąkany mówił dalej poważnie:

— Otóż jeden z nas musi umrzeć dla ocalenia pozostałych i... siebie samego. Rzucimy losy, a ten, który wyciągnie śmierć, powinien przez trzy miesiące malować bez przerwy, ale nie obrazy, broń Boże! a tylko małe szkice, obrazki, studja niedokończone... Na każdym drobiazgu powinien być podpis autora, ale uważajcie, że wszystkie one powinny odznaczać się jakąś właściwością pendzla, rodzajem, znamionującym autora. I zobaczycie: niech tylko umrze, a prace jego będą rozchwytywane do gabinetów. Ale przedewszystkiem powinien zniknąć na czas jakiś i pracować gorliwie, dopóki nie przygotujemy gruntu dla jego sławy. Następnie wyprawimy mu pogrzeb wspaniały.

— A to jakim sposobem?

— Jacyż wy niedomyślni! W rzeczywistości on nie umrze, a my zamiast niego pochowamy worek wypchany słomą.

Głośny okrzyk, przerywany śmiechem, rozległ się w ciasnym pokoju. Koledzy radowali się, wierząc w powodzenie pomysłu Karola. Gdy uspokoili się nieco. zawiązali węzełki. Los padł na Franciszka Milleta. Od tej chwili nazywaliśmy go »skazanym na śmierć«. Zebraliśmy wszystko, za co tylko można było dostać choć kilka groszy, kupiliśmy dobrowolnemu wygnańcowi zapas żywności, by nie odrywając myśli, mógł pracować spokojnie. Następnie zabrawszy po kilka szkiców »znakomitego, mistrzowskiego pendzla«, rozeszliśmy się w różne strony głosić sławę wschodzącej gwiazdy prawdziwej sztuki.

Rozumie się, podróżowaliśmy »per pedes apostolorum«. Zdziwisz się pan, dowiedziawszy się, jak łatwo wykonaliśmy plan Karola. Ja np. wybrawszy jedną z will bogatszych, usadowiłem się w blizkości i zacząłem ją rysować. Właściciel jej stał na tarasie, ale ja udałem, jak gdybym go nie widział. Ciekawy bogacz podszedł do mnie i zaczął unosić się nad moim talentem. Położyłem pendzel na palecie i wyjąwszy z teki pejzaż Milleta, odrzekłem:

— Słowa pańskie przyjmuję za niezasłużony komplement. Ale oto talent, prawdziwy genjusz! To znakomity Millet, mój wielki nauczyciel!

Właściciel willi spojrzał na mnie wzrokiem pytającym.

— Spogląda pan na mnie, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, iż nieznane mu prace i nazwisko Milleta? — zapytałem.

Rzecz prosta, bogacz zawstydził się swej niewiadomości i odrzekł pospiesznie:

— Ach, więc to Millet? To dziwne, że nie poznałem go odrazu! Ale teraz, przyjrzawszy się uważniej, widzę doskonale...

Był to pierwszy krok, prowadzący do napełnienia naszych kieszeni. Bogacz kupił obrazek wielkiego mistrza i bez targu zapłacił 800 franków (a ten rozbójnik Millet gotów był sprzedać go za pęczek brukwi). Za mój własny szkic dał mi 100 fr. Wstyd mu było przecież zapłacić mniej uczniowi znakomitego mistrza.

Natychmiast odesłałem 800 fr. naszemu »mistrzowi« i udałem się dalej. Na dawane nam o nim pytania, unikaliśmy zawsze odpowiedzi wyraźnych i dawaliśmy do zrozumienia, że jest chory bez nadziei, że doktorzy nie rokują mu długiego życia; wyrażaliśmy serdeczny żal z powodu, iż zdrowie jego pogorszyło się i t. p.

Przez półtora miesiąca pracowaliśmy gorliwie, ale najskuteczniejszym był trud Karola, który nie pominął i prasy. Sława znakomitego Franciszka Milleta rozbrzmiewała nie tylko w państwach europejskich, lecz i w Ameryce.

Gdy nadszedł umówiony termin, przekonaliśmy się, że dostatecznie przygotowaliśmy grunt do powodzenia naszego planu, a i kieszenie nasze były już dość wypełnione. Powiedzieliśmy sobie, iż należy kuć żelazo dopóki gorące i że nadszedł już czas śmierci dla Milleta. Zawiadomiliśmy go, by w przeciągu dni dziesięciu przygotował się do podróży z tego padołu do świata lepszego. Tymczasem Karol dokonał czynu świetnego: obraz „Nieszpory«, za który „nasz wielki mistrz« nie chciał wziąć pięciu franków, sprzedał za 2.200 fr. Jakeśmy się cieszyli i tryumfowali! Nie przewidywaliśmy wtedy, że przyjdzie chwila, w której cała Francja o obraz ten będzie prowadziła walkę zażartą i że nabędzie go cudzoziemiec za 550.000 fr. gotówką!...

Zjadłszy wspólnie ostatni raz kolację i obficie skropiwszy ją winem szampańskiem, rozjechaliśmy się. Karol pozostał w Paryżu dla rozpowszechnienia we wszystkich dziennikach, smutnych buletynów o postępie choroby naszego przyjaciela i mistrza, my zaś udaliśmy się do niego. Choroba przybrała charakter groźny i pomimo wszelkich usiłowań przyjaciół, wielki artysta przedwcześnie zgasł na ich rękach.

— Pamięta pan zapewne, jakie wrażenie sprawił wspaniały pogrzeb Franciszka Milleta? Ile to deputacji przybyło oddać hołd »wielkiemu obywatelowi i genjalnemu artyście!« Uroczyście i ze smutkiem na obliczach, wynieśliśmy we czterech, na swych strudzonych barkach trumnę z drogiemi naszym sercom, niezapomnianemi zwłokami.

— Jakto, we czterech? — zapytał zdziwiony mój towarzysz.

— Było nas przecież tylko czterech, więc i czterech zjawiło się u katafalka. Millet, jako daleki krewny zmarłego, pomagał nieść własną trumnę. Rozumie się, że pierwej ucharakteryzowaliśmy go starannie.

— Dziwna historja!

— A jednak prawdziwa, do najdrobniejszych szczegółów. Pamiętasz pan zapewne, jak podskoczyły wtedy ceny obrazów Milleta. Czy wie pan, że do dnia dzisiejszego mieszka w Paryżu pewien bogaty człowiek, który kupił 70 obrazów naszego przyjaciela i zapłacił za nie 2 miljony franków! A ileż zapłacono nam za jego szkice, obrazki, które wykonał przez półtora miesiąca swej samotności przedśmiertnej!

— No i cóż się dalej stało z bohaterem jej, »znakomitym« Franciszkiem Milletem?

— A nie powiesz pan nikomu?

— Daję panu słowo!

— Przypominasz pan sobie jegomościa, którego wskazałem mu na ulicy?

— Ten gruby Szkot?

— Ten sam. Wyjechał do Szkocji, kupił tem majątek, lecz prawie stale przebywa we Francji.

Marek Twain.

O wpływie kobiet na sprawy zdrowia w Anglji.

Radzi jesteśmy opisowi dr. Münza w »Humanität«, jak doniosłym jest wpływ kobiet na zdrowie publiczne w Anglji, radzi ukazujemy ten jasny promień miłości bliźniego, oświetlający i krzepiący ciemną ludność, szarą nędzę. W społeczeństwie, mającem takie kobiety, z pewnością nie powstanie nigdy spór, czyj mózg jest większy, męski czy niewieści, ale bo też i mózg ten nie trawi się tam w bezmyślności, ani nie pracuje w wyłącznym kierunku strojów, sznurówek i banalnej lektury. Jest różnica między utrzymaniem piękności ciała a karykaturowaniem piękności.

Było to w czasie wojny krymskiej. Młoda, piękna niewiasta, o dziwnie łagodnym wyrazie twarzy, z światłem w ręku weszła w nocy do izby szpitalnej, a skoro oświetliła znękaną twarz rannego żołnierza, ten z trudem podniósł się na łożu, aby ją błogosławić. Niewiastą był anioł opiekuńczy rannych w wojnie krymskiej, Miss Florence Nightingale, która jako pierwsza dama czerwonego krzyża, uprzedziła o lat dziesięć konwencją genewską.

Miss Nightingale żyje i zawsze jest opiekunką cierpiących. Książka, napisana przez nią pod skromnym tytułem „Notes of Hospital“ świadczy o sporym zasobie wiadomości higjenicznych autorki i o szlachetności serca.

Przy końcu roku 1857, gdy Europa drżała przed epidemją cholery, w Londynie utworzyło kilka niewiast »Ladys sanitary Association« celem fizycznego i społecznego podniesienia ludności. Głównem ich zadaniem było krzewienie zasadniczych prawideł higjeny i wnoszenie takowych do wszystkich warstw społeczeństwa. Z niewzruszoną wiarą w powodzenie przedsięwzięcia, rozpoczęły je wydrukowaniem kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy pism dla wszystkich dostępnie ułożonych, jak »Utrzymywanie zdrowia matek«, »Opieka i żywienie noworodków«. Z każdym rokiem przybywały nowe broszury, a obecnie doszła ich liczba do 90. Oto wybitniejsze: „Wartość czystego powietrza“, „Czysta woda do picia“, „O pożywieniu“, „Skuteczność mydła i wody“, „O myciu dziecka“, „Zdrowotne wychowanie dzieci“, „Nasze szkoły a zdrowie publiczne“, „O pielęgnowaniu chorych“, „Śmiertelność dzieci a odpowiedzialność kobiety“, „Zapobieganie błonicy, płonicy i durowi“, „Zapobieganie ślepocie dzieci.

Pisma te rozdają przeważnie bezpłatnie, a jeżeli sprzedają to w cenie nadzwyczaj niskiej, rozchodzą się też one w tysiącach egzemplarzy. Równie tanio sprzedają przystępnie napisane rozprawki o fizyologji, gospodarstwie domowem i o udzielaniu pierwszej pomocy w nagłych zasłabnięciach i otruciach.

Nie na tem jednak kończy się zakres działalności niewiast londyńskich. Udają się do dzielnic zamieszkałych przez rodziny robotników, wygłaszają tamże odczyty o sposobach poprawy stosunków zdrowotnych i o prowadzeniu gospodarstwa domowego. One to wprowadziły w życie stowarzyszenia, dostarczające odzieży, węgla i tanich artykułów żywności, za ich staraniem powstały łaźnie publiczne i pralnie, stowarzyszenia wstrzemięźliwości, kluby robotników, szpitale dla sierót i ochronki dla opuszczonych dzieci. One również walczyły przeciw trującym barwni-

przykrojone na miarę, wedle życzenia; tem łatwiej uczynić to może, iż na jakość wierszy patrzy się obojętnie. Porównajmy z tem teraz olbrzymią pracę kompozytora: opracowanie partycji wymaga kilku miesięcy, czasami kilku lat, a jeszcze wtedy pozostaje napisanie przeszło tysiąca stron nut orkiestracji.

Zastanawianie się czyja zasługa jest większa: poety czy kompozytora, próżne jest, zbyteczne, albowiem kwestji nie rozstrzyga. Właściwie, rozwiązanie jedno tylko być może; niechaj kompozytor sam stanie się swoim librecistą. Tak, jestem o tem tak dalece przekonany, iż kompozytor sam powinien być pisarzem poematu, który muzykę dopełnia, że nie umiem sobie wytłómaczyć i rozumieć jak może być inaczej!

W dramacie lirycznym naprzykład muzyka stanowić musi całość i jedność z całą akcją, ogarniając ją ze stron wszystkich. Zgodziwszy się na tę konieczność jednolitego złączenia muzyki, oraz akcji, nie wyobrażam sobie, jak mogą rodzić się one oddzielnie. Dla doskonałości tego w jednolitę całość złączonego organizmu, koniecznością się staje jednego tylko mieć twórcę. Chcąc uprzytomnić sobie genezę dramatu lirycznego, widzę istoty i fakta rodzące się jedne z drugich i wypowiadające się muzykalnie rodzajem symfonji, zarówno właściwej im jak powietrze, którem mają oddychać; śpiewanemi zdaniami do nas mówią, bo śpiew jest ich głosem. Pocóż więc dawać dwóch ojców temu dziecku o jednem sercu i o jednej tylko głowie?

Niejednokrotnie rozwijałem i narzucić się starałem te moje teorje młodym kompozytorom dnia dzisiejszego. Lecz grzeszą oni zbyteczną skromnością, twierdząc, iż nie czują się na siłach napisania poematu wierszem i zdaje się im, że kompozytor i poeta muszą być oddzielnemi istotami! Zdanie to uważam za mylne.

Zapewne, gdy wszechwładny i despotyczny genjusz takiego pokroju jak Ryszard Wagner, zamanifestuje swoje pojawienie się w danym dziale sztuki, przygnębiającym się staje i ciążącym nad całemi następującemi po nim pokoleniami. Widzieliśmy podobne objawy w poezji francuskiej, po Wiktorze Hugo, Lamartinie i Alfredzie de Musset, zdawaćby się dziś mogło, że liryzm raz na zawsze wyczerpanym już został. Napróżno młodzi poeci siłą się i znoją, by wykazać nową iskrę oryginalną. Toż samo zaszło po Wagnerze w muzyce. Formuła jego logiczna, pełna i cała, narzuciła się tak stanowczo i wszechwładnie, iż zdawać się dziś może stanowczo, że na długo po za nią nic doskonałego i nowego stworzonem nie będzie. Zawładnął on gruntem świata swego niepodzielnie, a po nim rodzą się już tylko same jego niedoszłe niemowlęta.

Chcieć pominąć Wagnera, byłoby wprost niedorzecznością. Zdobycze jego zatrzymać i spożytkować należy. Odnowił on formułę, nie wolno więc od niej zawracać w tył i puszczać się na niepewne błąkanie. Nie należy również osadzić się na miejscu i stać niewzruszenie przy nim, lecz uważać go trzeba za nowy początek i punkt wyjścia. Tą drogą a nie inną pójść muszą kompozytorowie francuscy. Lecz nic na miejscu nie stoi niewzruszenie, wszystko idzie naprzód, wciąż naprzód a w przyszłości ujrzymy mistrzów, wobec których formuła Wagnera przestarzałą się wyda. Wreszcie rozmaitość ras wprowadza rozmaitość w tworzone przez nie dzieła, chociaż jeden i ten sam duch twórczy powiał nad niemi.

Ztąd wnoszę, iż liryczny dramat francuski, pozostając przy opisowej symfonji, podtrzymanej przez orkiestrę, posługując się śpiewem dla wyrażenia uczuć, mógłby jeszcze swój wyraźnie odmienny zaznaczyć kierunek, dzięki żywości i jasności, które są znamienną cechą ducha francuskiej rasy. Nie widzę dla nas właściwego pola działalności dodatniej na tle mglistych podań mitologicznych, lecz dramat na tle ludzkich naszych stosunków niechaj wytryśnie wśród nas, z całą potęgą rzeczywistych nędz i rozkoszy. Nie żądam przez to bynajmniej opery w surducie lub bluzie. Nie, zadowolnię się najzupełniej, jeżeli dzisiejsze abstrakcyjne istotki zrodzone z legendy, ustąpią miejsca istotom żyjącym, odczuwać zdolnym nasze radości i cierpienia. Chciałbym jeszcze, by poemat sam przez się był interesującym, niechaj to będzie opowieść, unieść naszą ciekawość mogąca. A czy aksamit lub płótno oblekać będzie występujące w niej figury — rzecz to postronna; przedewszystkiem niechaj pod temi szatami ludzie z krwi i kości się kryją a z założenia i całości niechaj nas dolata głos dla całej ludzkości wspólny i zrozumiały.

Otóż się wypowiedziałem. Tak, pragnę, by dramat liryczny osnuwał się na tle ludzkich naszych stosunków, nie odtrącając wszakże w zupełności jako środków pomocniczych: fantazji, tajemniczości, kaprysu. Jakaż inna rasa lepiej od francuskiej zdoła wypowiedzieć żądze i pragnienia ludzkości? Chciałbym, aby muzyka nasza pochwycić je zdołała wraz ze wszystkiemi bólami i radościami, piersią ludzką wstrząsać zwykłemi. Ach! muzycy! zdołajcie znaleźć drogę do serca naszego, dotrzyjcie do źródeł śmiechu i płaczu, a wtedy nadludzka postać Wagnera zblednie na wyniosłym swoim piedestale, całym z symbolów złożonym! Badajcie życie, wlewajcie życie we wszystko, nawet w nieskończoność ze śpiewu płynące!

kom używanym do tkanin, obić i sztucznych kwiatów; one założyły stowarzyszenie, dostarczające obiadów biednym uczniom. I znowu nie kto inny, ale teżsame niewiasty pomyślały o wyprowadzeniu biednych, wybladłych dzieci na świeże powietrze; matki niechętnie zezwalały na owe przechadzki, gdyż dzieci powracały z większym niż zwykle apetytem. Wystarczyła wtedy jedna odezwa do miłosierdzia publicznego, a mleka i bułek znalazło się podostatkiem.

W szkole, utrzymywanej przez stowarzyszenie, dziewczęta obznajamiają się z gospodarstwem i z higjeną mieszkań. Jednem słowem, niewiasty owe są niestrudzone w pracy, podjętej wśród warunków niekorzystnych, która trafiała na tem większy opór, o ile była nowością i to śmiałą.

Biuro ich, przy Bennay Street 22, znajduje się w oblężeniu przez chorych ojców, matki, dzieci i osoby pozbawione pracy, tem bardziej że obecnie całą działalność skierowały ku najbiedniejszej, najbardziej nędzą odstraszającej dzielnicy.

Wspaniałe to dzieło nie mogło pozostać bez naśladowanictwa w mieście, liczącem przeszło 5 milionów mieszkańców. Przed 19 laty, powstało w Londynie — również z inicjatywy niewiast — narodowe stowarzyszenie dla zdrowia publicznego. Ze skromnych zacządków, rozwijając się z każdym rokiem doszło ono dziś do potężnych rozmiarów, i objęło wpływem swoim Anglją tak dalece, że obecnie posiada korespondentów i filje w dwudziestu ośmiu miastach zjednoczonego królestwa.

I to Stowarzyszenie wydaje tysiące pism jak np. »Jak można utrzedz się ospy«, «W jaki sposób można stać się silnym i pięknym«, »Zbytek czyli nadmierne odżywianie«, »Niewidoczne niebebezpieczeństa dla zdrowia w domach«, »Tanie środki dezynfekcyjne«. W angielskich salonach, pierwszorzędnych tematem rozmowy jest higjena, a najznakomitsze damy, uczęszczając na wykłady i praktyczne ćwiczenia, poddają się egzaminom w celu otrzymania świadectwa.

Prócz tego wspierają się wzajemnie członkowie, celem higjenicznej poprawy własnych mieszkań. Osobny dział prowadzi Miss Buss, zawiadując podniesieniem fizycznego wychowania młodzieży; w tym celu zakładają ogrody, miejsca do zabaw i boiska dla ćwiczeń.

Przewodnik higjeniczny.

Emil Zola.

O dramacie lirycznym.

Już w późniejszym wieku zacząłem się zajmować muzyką. A w interesującej kwestji muzyki w teatrze, z każdym dniem silniej się przekonywam, jak dalece ważnem jest dla kompozytora dobre libretto, nadające się do jego twórczości.

Ważnem było ono zawsze, nawet za panowania dziś przestarzałych, a niegdyś powszechnie stosowanych formułek przy pisaniu opery, lub opery komicznej. Przeglądając artykuły, wydrukowane przez krytyków po śmierci Gounoda, uderzony byłem faktem, iż jednogłośnie przypisywali oni niepowodzenie różnych utworów mistrza, wyłącznie źle zastosowanym do muzyki poematom.

Muzyka nie została należycie oceniona ich zdaniem, bo słowa nie budziły zajęcia, źle były dobrane, były antimuzykalne. Autor libreta paraliżował twórczość muzyka.

A przecież były to czasy, w których poemat stanowił tylko pretekst do muzyki. Czyż nie wtedy Rossini zapewniał, iż napisze porywającą partycję do czwartej strony jakiegokolwiek dziennika, mieszczącego tam same tylko ogłoszenia? Chciał on przez to zaznaczyć wyraźnie, iż muzyka sama przez się dość jest zajmującą, by sama sobie wystarczyć mogła, iż akcja i osoby udział w niej biorące ustępują zawsze miejsca a nawet znikają przed jej potęgą, osoby zaś pragnące usłyszeć operę, nie idą do teatru dla libretta, lecz dla upojenia się czarem muzyki. Słowa poematu musiały być zatem wówczas zawsze uważane za dobre i dostateczne, kompozytor postępował z niemi bowiem jak tyran samowładny, gardząc niemi i prawie ich nie znając, naginał je dowolnie do swego chwilowego upodobania i zachcenia, do smutku lub wesołości. Słowa stawały się jedynie pretekstem do duetów, tercetów, chórów, kawatin lub barkaroli.

Dziś, gdy w dramacie lirycznym nowa zatryumfowała formuła, widzimy jak ważnym się staje dobór poematu. Najmocniej jestem przekonany, iż liczne niepowodzenia, doznawane teraz przez młodszych kompozytorów, jedynie przypisać należy wadliwości libretta, które jako złe, padając, powoduje upadek i towarzyszącej mu muzyki.

Mojem zdaniem, akcja dramatu lirycznego powinna być ściśle ujęta, a osoby przedstawiane żyć są obowiązane; powinien to być epizod zaczerpnięty z życia naszego, a dopełniony i rozszerzony muzyką.

Ostatniemi czasy prasa poruszyła kwestję ciekawą: jakie stanowisko zajmują względem siebie kompozytor i autor libretta i czyja jest rola ważniejszą, po wspólnem dokonaniu dzieła. Wydało mi się, czytając artykuły w tym kierunku napisane, iż większość ich pojmowała librecistę jako podrzędnego pomocnika, służącego dla przygotowania materjału do rzeczywistej roboty.

Pozornie sądząc, możnaby rację im przyznać, bo jakąż trudność może przedstawiać przygotowanie poematu? W trzy tygodnie dobry majster od wierszy, powinien dostawić żądane libretto